



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Genowefa Maria Kabata

Moje wspomnienia z czasów okupacji

W latach 1939-1942 mieszkałam w Łasku koło Łodzi przy dworcu kolejowym. Pracowałam przymusowo u Niemców wykonując różne prace, na przykład sprzątanie, wyrzucanie węgla z wagonów, odśnieżanie i wiele innych. Niezależnie od tego w towarzystwie starszych ode mnie osób: braci Badziaków, panów Smolarka i Serafina brałam czynny udział w różnych akcjach sabotażowych. W związku z tym, że mieszkałam tuż przy dworcu kolejowym i towarowym, w wolnym czasie często tam przebywałam, przekładałam karty polecające z jednego wagonu do drugiego. Powodowało to, że wagony były kierowane do innych miast i z inną zawartością. Wypuszczaliśmy z cystern naftę, benzynę i spirytus. Pewnego razu, ktoś zawiadomił zawiadowcę stacji, że z jednej z cystern dużym strumieniem wypływa benzyna. Niemcy natychmiast zrobili obławę z dwóch stron stacji. Szczęśliwie, udało się nam zbiec. U moich rodziców razem z moim Tatusiem przejrzeni ogród, gdzie nikogo nie znaleziono. Ja zdążyłam się ukryć w domu. Gdzie ukryli się inni uczestnicy tej akcji – nie wiem. Jak mój Tatus dowiedział się, że ja brałam też w tym udział, zrobił mi straszną awanturę.

Jedną z najbardziej niebezpiecznych dla mnie akcji było zepchnięcie wózka bagażowego na tory kolejowe, co spowodowało wstrzymanie ruchu. Nie udało mi się wtedy uciec. Razem z inną – zupełnie niewinną – kobietą zostałam złapana przez kolejarza. Kobieta ta wracała z pracy idąc wzdłuż torów kolejowych (pracowała jako sprzątaczką w kasynie oficerskim). Kolejarz zaprowadził nas do zawiadowcy stacji. Opisał całe zajście. Kazał nam podpisać zeznanie, po czym zaprowadził do dworcowego aresztu i oświadczył, że za ten czyn grozi nam kara śmierci i on nas zastrzeli. Zaczęłyśmy strasznie krzyczeć i rozpaczać. Ta kobieta miała małe dziecko. Nasz przeraźliwy krzyk usłyszał kasjer, pan Szubert (Niemiec mieszkający w Polsce jeszcze przed wojną), który znał moich rodziców. Wpadł do nas, chwycił zawiadowcę za rękę i wyrwał mu broń, a nam kazał natychmiast uciekać. Po skończonym dyżurze przyszedł do rodziców i opowiedział całe zajście. Powiedział im też, że dla zatuszowania sprawy dał zawiadowcy wszystkie pieniądze, jakie miał w kasie. Musieli więc pokryć te koszty.

W niedługim czasie rodziców wysiedlono, a mnie wywieziono do innej miejscowości, do pracy u Niemców, gdzie zatrudniona byłam jako pomoc domowa. Udało mi się z tamtego miejsca uciec, po czym się ukrywałam. W tym czasie moi rodzice dużo pomagali ukrywającym się Polakom i Żydom. Ciągłe też bywały u nich rewizje.

Pewnego dnia w sierpniu 1942 roku poszłam do miasta zanieść trochę żywności Żydom i miałam zrobić zakupy. Niespodziewanie zatrzymał mnie żandarm i zaprowadził na komendę policji, a tam wsadzono mnie do aresztu. Wieczorem policja ponownie spisała moje dane, po czym zamknęło mnie w jakiejś komórce. Po pewnym czasie zaprowadzono mnie do więzienia w Łasku. Następnego dnia rano

miałam półgodzinne widzenie z moim Tatusiem. Tatusiowi powiedzieli, żeby mi przygotowali ubranie, przynieśli na dworzec i aby rodzina przyszła się ze mną pożegnać, bo ja będę wywieziona do Niemiec. W podróży do Niemiec byłam eskortowana przez tego samego żandarma, który mnie zatrzymał. W Jarocinie znów zamknięto mnie na noc w areszcie komendy policji. Następnego dnia pojechaliśmy do Szczecina, a stamtąd do Neubrandenburga i potem do Warlina. Na miejscu okazało się, że za uwolnienie jednej Polki przywieziono do Niemiec nas dwie. Obie byłyśmy zrozpaczone. Prosiłam żandarma, żeby nas uwolnił, na to on odpowiedział, że prędzej nas rozstrzela. I tak musiałyśmy zostać.

W Warlinie pracowałyśmy w gospodarstwie pana Szwarca. Był to duży majątek zatrudniający wielu ludzi różnej narodowości: Polaków, Rosjan, Francuzów – przeważnie jeńców wojennych. Byłam przydzielona do pracy w polu. Było mi bardzo ciężko, chorowałam. Po pewnym czasie, dzięki pomocy Magdy (nazwiska nie pamiętam), która była boną do dzieci, przydzielono mnie do kuchni. Dzieci pana Szwarca na mnie pluły i mówiły, że jestem polską świnią. Było mi bardzo smutno.

W czasie tej pracy miałam okazję pomagać Polakom i Rosjanom, podając im trochę żywności. Pewnego razu zauważył to pan Szwarz, wezwał mnie do siebie i zaczął bić po twarzy. Pokrwawioną, zapuchniętą wyrzucił mnie z pracy w kuchni. Wróciłam znów do robót w polu. Było mi bardzo ciężko, bo nigdy nie nadążałam za drugimi. Mieszkaliśmy w dawnych świniarniach, nigdy nie ogrzewanych. W jednym pomieszczeniu przebywało nas 7 osób. Razem z koleżanką, która przyjechała ze mną, miałam wspólne łóżko i jeden koc. W zimie ściany były oszronione. Żywność dostawaliśmy na kartki raz w tygodniu, bardzo mało. Sami sobie gotowaliśmy. Ja nie miałam żadnych naczyń do gotowania, ani talerza, ani łyżki. Przez długi czas skazana byłam na pomoc koleżanek. Pewnego razu koleżanka pracująca w świniarni znalazła łyżkę, która zginęła w kuchni. Miała mi ją przynieść, gdyż ją ciągle pożyczalam. Przychodzimy na obiad, a tu samochód z żandarmami. Powiedzieli, że będzie kontrola. Wchodziliśmy pojedynczo. Kiedy przyszła na mnie kolej, wiedząc, że koleżanka przyniosła mi łyżkę, bardzo się bałam. Dostałam jakiegoś szoku nerwowego, strasznie płakałam. Jeden z kontrolerów, starszy pan, prosił abym się uspokoiła – jeśli jestem niewinna, to nic mi nie zrobią. Opowiedziałam mu szczerze jak mieszkamy, jakie mamy warunki i jak mnie przywieźli. Nie wiedziałam, że trzeba mieć swoje naczynia. Całe szczęście, że ta koleżanka dowiedziała się wcześniej i tej łyżki nie przyniosła.

Kontroler poprosił mnie, żeby wziąć kartę do lekarza i następnego dnia przyjść do Arbeitfrontu w Neubrandenburgu i to wszystko opowiedzieć. Przyznam się, że bardzo się tego bałam. Następnego dnia pojechałam. Przyjął mnie ten sam pan. Okazało się, że pan Szwarz powinien nas zaopatrzyć w najbardziej potrzebne rzeczy. Powiedział, że sam tego dopilnuje, żebyśmy mieli postawiony nowy barak, każdy miał swoje łóżko i potrzebne do kuchni rzeczy. Prosił mnie, aby o tym nikomu nie mówić, żeby zachować całkowitą dyskrecję. W krótkim czasie mieliśmy nowy barak i każdy dostał niezbędne rzeczy. Ja mieszkalam z tą koleżanką i jeszcze jedną dziewczyną z Łodzi. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, szkoda tylko, że tak późno.

Neubrandenburg był bardzo często bombardowany. W czasie nalotów byli zabici i ranni. Pamiętam jednego Polaka – pilota, który był ranny i zmarł. Został pochowany na cmentarzu koło Warlina. Po kryjomu pielęgnowałam ten grób.

Pewnego razu na swojej działce buraczanej znalazłam spadochron, a trochę dalej radio nadawcze. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co to jest. Wyglądało to ładnie – biały, duży parasol na tle zieleni. Zwinęłam go szybko i poszłam powiedzieć o tym jednemu z mężczyzn. Szybko się zorientował o co chodzi. Wszystko ukryliśmy i wieczorem przynieśliśmy do domu. Próbowaliśmy uruchomić radio, jednak nie udało się. Spadochron częściowo pocięliśmy na chusteczki – na pamiątkę. Radio uszkodziliśmy, a resztę spadochronu oddaliśmy Niemcowi, który był naszym wójtem. Baliśmy się go trzymać w domu. Następnego dnia wieczorem poszłam po swoje schowane w stogu siana ziemniaki. W miejscu, w którym położyłam woreczek już go nie było. Zaczęłam szukać, mówiąc do siebie, kto mógł mi to zabrać. Nagle usłyszałam czyjś głos – „Ziemniaki są z drugiej strony. Jesteś Polką?” Odpowiedziałam, że tak. Ucieszyłam się, ale jednak nie ufałam. Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że był to skoczek spadochronowy. Wtedy opowiedziałam mu, że to ja ten spadochron znalazłam, wcześniej rano na swojej działce. Wtedy on odpowiedział mi, że bał się, żeby go ktoś nie zauważył, dlatego ukrył się w stogu siana. Siedział tam już cały dzień i był bardzo głodny. Błagał, żeby nic nikomu nie mówić. Poszłam do domu, wzięłam coś do jedzenia i zaniósłam mu. Zapewniałam go, że nikt o tym nie wie i nie będzie wiedział. Pytał, jak dojechać do drogi i czy są w pobliżu jakieś obiekty przemysłowe. Wiedziałam, że w pobliżu jest tartak. Aby nie wzbudzić podejrzenia, szłam pierwsza, on za mną i tak doszliśmy do głównej drogi i pożegnaliśmy się. On poszedł w kierunku stacji kolejowej Sponholz, ja do swojej pracy.

Wkrótce po opisanym wyżej spotkaniu został zbombardowany tartak. Okazało się, jak później się dowiedziałam, że pod tym tartakiem była fabryka amunicji. Po bombardowaniu były tak silne wybuchy, że wióry z drzewa dolatywały do nas, a nasz teren był silnie oświetlony. W nocy zmuszeni byliśmy uciekać. Zginęło dużo ludzi (około 100 osób). Wszyscy zostali pochowani na cmentarzu w Neubrandenburgu. Z naszego majątku na pogrzebie nie było nikogo. Nie pozwolono nam pójść. O tym panu, którego wtedy spotkałam do dziś nie wiem nic, jakie były jego dalsze losy. Było to w roku 1944.

Wiosną 1945 roku do naszego majątku przysłała dość liczna grupa żołnierzy polskich. Byli to jeńcy z Powstania Warszawskiego, szli z obozu koncentracyjnego. W naszym majątku przebywali kilka dni. Wśród nich znalazło się dość dużo chorych. Umieszczono ich w stodołach, tam też nocowali. Warunki były okropne, urągające godności człowieka. Jedzenie gotowaliśmy w kotłach dla świń. Przeważnie jakieś podłe zupy ziemniaczane. Choć nas Polaków było sporo, nie sposób było wszystkim pomóc. Poza tym zabroniono nam kontaktować się z nimi. Wkoło obozu chodzili SS-mani. Mieszkałam blisko izby chorych, więc czasami tam bywałam, aby im co nieco pomóc. W izbie tej poznałam trzech oficerów. Jakoś od razu darzyliśmy się zaufaniem. Jeden z nich zdradził mi, że planują ucieczkę. Było to bardzo poważne i niebezpieczne przedsięwzięcie, bo zapowiedziano nam, że za każdą pomoc grozi kara śmierci. Mimo tego wielkiego strachu starałam się im pomóc. Wieczorem nagotowałam dobrej zupy i naszykowałam chleba, aby ich nakarmić. Dla bezpieczeństwa powiadomiłam o tym też mieszkające ze mną koleżanki. Szczęśliwie udało im się do nas przyjść. Jeden z oficerów miał bardzo odparzone nogi.

Po kolacji poszli do izby chorych. Umówiliśmy się na następny dzień bardzo wcześnie rano. Znów przygotowaliśmy śniadanie. Przed pożegnaniem jeden z panów powiedział, że jest inżynierem architektem, że budował kościół św. Boboli (zdaje się w Wilnie). Następnie powiedział, że wśród nas jest również pan Sapieha. Był to ten pan z chorymi nogami. Dziękowali nam bardzo. Pan Sapieha powrócił mi z ręki, podał mi swoje adresy, a odchodząc powiedział, że może się jeszcze spotkamy. Pożegnali się i wyszli w dalszą drogę, prawdopodobnie chcieli przedostać się do Anglii. Nazwisk pozostałych dwóch panów nie pamiętam. O dalszym ich losie nic nie wiem. Mimo upływu lat, myślami wracam do minionych dni i z wielką radością bym przyjęła pozytywną wiadomość. Wielokrotnie starałam się coś na ten temat dowiedzieć i nigdy mi się to nie udawało.

Na krótko przed zakończeniem wojny spotkała nas bardzo przykra sprawa. Jednego z Polaków, który czasami nas odwiedzał, bo pracował niedaleko nas u gospodarza, posądzono o sabotaż. Rzekomo miał wrzucić podkowę do młockarni. Skazano go na karę śmierci przez powieszenie. Nas wszystkich spędzono na przypatrywanie się egzekucji, aby to było dla reszty ostrzeżeniem. Kata przywieziono z majątku. Kiedy skazany wszedł na stół stojący pod sosną na polu pana Szwarca zapytano go, jakie ma ostatnie życzenie. Odpowiedział, że chciałby się zobaczyć z rodziną i najeść do syta. Kat odpowiedział mu, że jest możliwym tylko najeść się i rzucił mu kielbasę, stół kopnął nogą i skończyło się. Widok był wstrząsający. Ciągłe widzę tę sosnę i to miejsce. Potem kazali zdjąć mu buty i ubranie, aby było dla drugih. Prawdopodobnie ciało zakopali w polu przy drodze. Wszyscy płakaliśmy. Ciekawa jestem, czy ktoś z jego rodziny był o tym zawiadomiony. Ja jego nazwiska też nie pamiętam.

Po tym wszystkim zdecydowałam się uciekać na stronę brytyjską. Tak się złożyło, że miałam kontakty z jeńcami wojennymi z Oflagu IIE lub Stalagu IIA z Neubrandeburga. Częściowo pracowali oni u gospodarzy niedaleko naszego majątku. Czasami wolno im było nas odwiedzać na 2-3 godziny w jakieś większe święto. Poznałam tam kilku oficerów. Szczególnie pamiętam pana Marszałka i pana Wacława Misiewicza (lub Miśkiewicza), prawdopodobnie z Białegostoku. Jestem im bardzo wdzięczna za pomoc i podtrzymywanie mnie na duchu, udzielanie dobrych rad w tych ciężkich i koszmarnych dniach. Razem planowaliśmy ucieczkę. Miałam nawet tam uszyty mundurek. W dniu, kiedy się umówiliśmy na spotkanie, bardzo wcześnie rano, niestety nie przyszłam. Dzień wcześniej dostaliśmy rozkaz (w samo południe) kopania schronów, które od góry były przykryte gałęziami. Schrony były kopane wzdłuż torów kolejowych Szczecin – Berlin. Było nas około 50-60 osób z naszego majątku. Niestety na noc już nie wróciliśmy. Tym samym nie mogłam wyjść na spotkanie.

Bardzo wczesnym rankiem wkroczyli do nas Rosjanie. Pędzili do nas przeważnie na koniach. Pan Brzozowski, który nas pilnował przez cały czas pobytu, znał dobrze rosyjski. Zabrał nas wszystkich i z nim na czele wybiegliśmy naprzeciw Rosjanom, wymachując białymi chusteczkami, krzycząc hura na znak poddania się. Jeden z całej tej grupy Rosjan prosił nas, aby się nigdzie nie ruszać dopóki oni nie dadzą nam znać. Byliśmy głodni, wszystko pozostawiane było w domu. Zdecydowałam się z koleżanką z naszej grupy iść do naszych mieszkań po żywność i rzeczy. To co zobaczyłyśmy, to było straszne piekło: pełno wojska rosyjskiego, czołgów i samochodów. Stanęłyśmy jak wryte w ziemię. Co robić dalej, dokąd się ruszyć? w jednym z tych samochodów była grupa polskich oficerów, z którymi planowałam ucieczkę. Był wśród nich również pan Wacław Misiewicz (lub Miśkiewicz). Zdążyłam im tylko powiedzieć, dlaczego nie przyszłam, a oni mnie – że przeze mnie nakryli ich Rosjanie. Gdzie ich wywieźli – nie wiem.

Mnie i koleżankę – Marysię Płontkę zagonili do przygotowania biura polowego. Jedna z dziewczyn, Rosjanka, zawołała mnie i powiedziała, że oni nas zabiją. Wskazała na drogę, żeby w czasie obiadu uciekać. Z tego piekła nie mogłyśmy się wydostać. Na poszukiwanie nas wyszedł pan Brzozowski. Całe szczęście, że znał rosyjski i spotkał nas jak uciekałyśmy wykopami. Wytłumaczył im kim jesteśmy, no i oni pozwolili nam zabrać nasze rzeczy z mieszkania. Wieczorem razem wróciliśmy do naszych schronów.

W nocy przyszło do nas czterech pijanych Rosjan z bronią, domagając się, aby pokazać gdzie są Niemcy. Było to straszne. Nikt z nas nie miał broni. Wszyscy uzbroili się w kije i łopaty i udało się ich

przepędzić. Odchodząc powyrzucali nam nasze rzeczy, poprzecinali walizki, poginęło nam dużo rzeczy, między innymi adresy (w tym również pana Sapięhy). Wobec takiej sytuacji postanowiliśmy wszyscy, mimo tak strasznej zawieruchy, wyruszyć w dalszą podróż w odwrotnym kierunku. Oni do Berlina, my do Polski. Było to coś okropnego. Szliśmy pieszo ze swoimi bagażami. Przedzieraliśmy się przez zgliszcza. Wszędzie się coś paliło, było mnóstwo zabitych. Nie mieliśmy ani co jeść ani co pić. Chodziliśmy po opuszczonych domach szukać pożywienia, nocowaliśmy w rowach, gdzie się dało. Staraliśmy się trzymać razem. W końcu zmuszeni byliśmy szukać jakiegoś wózka. Nie sposób było iść pieszo i nieść bagaż. Wreszcie znaleźliśmy jakieś ręczne wózki, a potem już mieliśmy wóz i w końcu konia. Było nam znacznie łatwiej, bo na zmianę mogliśmy jechać na wozie. Podróżowaliśmy przez Gryfino, Szczecin-Dąbie. Wszędzie się paliło – dym i straszne zapachy. Byliśmy strasznie zmęczeni, brudni i głodni. W nocy kolejno trzymaliśmy dyżury, aby pilnować naszych rzeczy, ponieważ jeden drugiemu kradł żywność. Najgorsze było to, że Rosjanie nas zawracali z drogi i nie pozwolili jechać. Kierowali nas przez lasy, wtedy błędziliśmy i trudno było zdobyć żywność.

Kiedyś dojechaliśmy do jakiejś wioski i tam spotkaliśmy polską rodzinę. U nich zatrzymaliśmy się na noc. Spaliśmy w stodole, dostaliśmy kolację i śniadanie. Rodzina ta zapewniała nas, że chodzą pociągi towarowe i wożą uchodźców. Namówili nas, żeby sprzedać wóz i konia, wtedy szybciej dojedziemy do domu. Zgodziliśmy się na tą propozycję, dzieląc się pieniędzmi. Jak się potem okazało, dostać się do takiego pociągu było bardzo trudno. Pogubiliśmy się i na nowo zaczęła się walka o zdobycie czegokolwiek i problem dostania się do pociągu. Wreszcie jakimś cudem dotarliśmy do Odry. Tam się dopiero zaczęło istne piekło – pełno ludzi, furmanek, wózków i pieszych. Dużo trupów i topielców (pływających jak beczki). Widok okropny. Nie było żadnych możliwości dłużej tam zostać.

Mężczyźni zdecydowali, że koniecznie musimy przedostać się na drugą stronę Odry. Powstał straszny chaos, każdy chciał być pierwszy. Po dwóch dniach udało się nam dostać do tej kolejki. Z naszej grupy już było niewielu. Ja z trzema koleżankami trzymałyśmy się razem, żeby pojechać jednym wozem. Przez rzekę przeprowaliśmy się nocą, a na wozach byłyśmy przykryte kocami. Jechałyśmy po moście pontonowym, a z dwóch stron szli mężczyźni. Z chwilą, kiedy przedostaliśmy się na drugą stronę, ludzie którzy wcześniej przyplynieśli kłęczeli, modlili się i śpiewali pieśń „Serdeczna Matko”. Było to strasznie wzruszające.

O zakończeniu wojny dowiedzieliśmy się rankiem 9 maja 1945 roku. Nocowaliśmy wtedy w rowie, była przepiękna pogoda. Nasza radość była nie do opisania – nie czuliśmy głodu, tańczyliśmy na szosie, składaliśmy sobie życzenia, to była jedna wielka rodzina. Było to jednak daleko od domu i czekało nas wiele niespodzianek. Nareszcie dotarliśmy do granicy polskiej (zdaje się, że to był Wieiun). Całowaliśmy słup graniczny, było to wzruszenie do łez. Polacy witali nas bardzo serdecznie. Na transparentach widniały hasła „Witamy nasze kochane dzieci chlebem i solą”, ale faktycznie tego chleba było bardzo mało i nie starczało dla wszystkich. Ale byliśmy już na swojej ziemi i w swojej Ojczyźnie.

W końcu dotarliśmy do Poznania, który dopiero dał się nam we znaki. Na dworcu tłumy ludzi różnej narodowości, mnóstwo Rosjan, krzyki o kradzieżach, nie było co jeść – to co nosili do sprzedaży to herbata, chleb i bułki, ale było bardzo drogo. Za te pieniądze któreśmy dostali niewiele można było kupić. Nareszcie udało się nam dostać przez okno do pociągu. Nadal trzymaliśmy się w cztery. Z Poznania wywieziono nas na stację Psie Pole, wyrzucono wszystkich i kazano na własną rękę wracać do domu. Była bardzo późna noc. Tu miałam trochę szczęścia. Usilnie błagałam maszynistę, że jedziemy do Łodzi, tyle dni jesteśmy w podróży, żeby nas nie zostawiał i z powrotem zabrał do Poznania. Chyba wzbudziłam w nim litość, bo pozwolił nam wejść z powrotem do tego pociągu. Kazał się nam schować pod ławkę, żeby nas nikt nie wdział i tak dotarliśmy z powrotem do Poznania. Byłam mu bardzo wdzięczna. Po niedługim oczekiwaniu udało nam się dostać na pociąg, który jechał do Łodzi przez Łask. Jechaliśmy w nocy na dachu. Na jakiejś stacji pociąg się zatrzymał i znów tłumy ludzi. Podeszli do nas Rosjanie, prosząc o papierosy. Mężczyźni ich poczęstowali, a oni na nasze bagaże tak sprytnie pozakładali haczyki, że z chwilą, kiedy pociąg ruszył pościągali je. Mnie również zabrali wszystko. Strasznie rozpaczalam. Jechałam w ciemno, gdyż od długiego czasu nic o rodzicach nie wiedziałam.

I oto wreszcie dotarłam do Łasku. Do domu poszłam z moimi koleżankami. W jednym ubraniu, które miałam na sobie. Był to dzień 15 maja 1945 roku. W domu radość nie do opisania. Koleżanki były u mnie kilka dni. Byłyśmy bardzo szczęśliwe, że skończył się ten koszmar.